

## ZDZISŁAW STRYCHARZ

ur. 1945; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, ulica Królewska 4, ulica Królewska, ulica Krakowskie Przedmieście 22, wspomnienia o Lublinie, wygląd Lublina, przystań kajakowa, restauracja "Pod Basztą", taborcy cygańskie, zespoły cygańskie, dzieciństwo, ulica Krakowskie Przedmieście, restauracje lubelskie, radio, telewizja, życie codzienne, Ogród Saski, budki telefoniczne

### 2. Lublin z mojego dzieciństwa i młodości

Jak dzisiaj się spojrzy na ulicę Królewską, plac Łokietka, Lubartowską, Krakowskie Przedmieście, to jest diametralna różnica. Bo w latach mojego dzieciństwa, czyli założmy początek lat pięćdziesiątych, tu gdzie teraz jest ratusz, najpierw stał, mniej więcej na środku, taki słup, latarnia. Latarnia była takim elementem ronda. Samochodów było niewiele, głównie jeśli się kręciły, to furmanki albo dorożki, które wozily klientów. Taksówek jeszcze wtedy nie było, albo ilości bardzo znikome. Ulica Lubartowska dzisiejsza - od Bramy Krakowskiej do Kowalskiej, miała może już nie kocie łby, bo w części one były, ale to była taka kostka. Były zawsze kłopoty w zimie, bo to z góry, więc i z góry źle, i pod górę źle. Była dwukierunkowa. Potem wprowadzono rondo –ładne, ukwiecone. Co roku panie na wiosnę, na jesieni, obrabiały tam, żeby były ładne kwiatki, i to było podlewane. Ulica Królewska nie była asfaltowa. Było dużo różnych sklepów, i przy Królewskiej, i przy Lubartowskiej - zarówno od Bramy Krakowskiej do Kowalskiej, jako Rady Delegatów, a dzisiaj cała Lubartowska, i potem dalej w dół, do Tysiąclecia, i aż do ulicy Unickiej. Natomiast Krakowskie Przedmieście nie miało banków. Były takie trzy banki, które pamiętam –ten przy Krakowskim 14, na rogu Wróblewskiego –to do dzisiaj jest PKO BP. Drugi bank był na rogu 3 Maja i Krakowskiego. A dalej, pod trzydziestym chyba dziewiątym, w głębi, tak jak do niedawna, to też była siedziba banku, chyba to był bank PKO BP. Natomiast było bardzo dużo różnych sklepów, były apteki, były sklepy spożywcze, były sklepy przemysłowe. Nie było ogródków, jak dzisiaj. Ulica Krakowskie Przedmieście była ulicą, gdzie jeździły trolejbusy, autobusy, gdzie były dwa pasy w jedną i w drugą stronę, tak że ruch się odbywał normalnie. Od ratusza aż do –dzisiaj wysokości 3 Maja i Kołłątaja, jest ten teren zamknięty, powstał deptak. Ubolewałem

bardzo, jak ten deptak powstał, bo to mi zabrało jakąś własność, nie wiem, jak to określić, ale potem okazało się, że coś takiego jest potrzebne. Jak jeszcze jeździłem po różnych miastach Europy i widziałem takie tereny zamknięte, to okazało się, że jest to potrzebne, że takie enklawy się praktycznie sprawdzają, ludzie się dobrze czują, można na różny sposób się spotykać. Byłem na przykład w Brukseli, widziałem różnego rodzaju ogródki, które wydawało mi się, że w Lublinie nigdy nie powstaną. Okazało się, że dzisiaj na Starym Mieście czy na deptaku Krakowskiego Przedmieścia, te ogródki są ozdobą, przyciągają, cieszą się dużą popularnością. To był taki udany zabieg. Wracając do dzieciństwa - mając lat osiem, dziesięć, dwanaście, bardzo czekałem na sobotę. Sobota, to był taki dzień, gdzie była praca. Ona była do godziny trzynastej, ale po godzinie trzynastej, jak tato wracał z pracy, to w okresie od maja do lipca, do sierpnia, mieliśmy ulubione zajęcie, a mianowicie, jak tato wrócił z pracy, a dzień już był długi, to myśmy bardzo szybko się przebierali, i szliśmy na piechotę na ówczesną ulicę Świerczewskiego, a dzisiaj Piłsudskiego, i tam od strony wodociągów, które dotyczą do rzeki Bystrzycy, była przystań kajakowa. I tam wypożyczaliśmy kajak, i tymi kajakami pływaliliśmy - najpierw z biegiem Bystrzycy w kierunku młyna Krauzego, a potem bardziej wiosłując - głównie tata - wracaliśmy do przystani przy ulicy Świerczewskiego. Ale po drodze były widoki, których dzisiaj nie ma - po pierwsze rzeka była czysta. Jak się płynęło kajakiem, to się widziało kamyczki na dnie. Po lewej stronie, płynąc w kierunku młyna Krauzego, czyli po lewym brzegu rzeki Bystrzycy, w sobotę była kanikuła. Przychodzili ludzie z całymi rodzinami, rozsiadali się, trawa była koszona regularnie. Wyjmowali koszyki, tam mieli kiełbasę, ser, jajka na twardo, chleb, masło. Niektórzy jeszcze coś może i trunkowego, to trudno było sprawdzić, ale tak pewnie było. Była kąpiel w rzece, bo Bystrzyca nie była zbyt głęboka, więc można było z tej kąpeli skorzystać. I to był przepiękny widok. Tak jak dzisiaj, to jest Bulwar Stanisława Zalewskiego, czyli masażyści znanego niegdyś Feliksa Stamma - trenera naszej złotej reprezentacji. Wzdłuż tego bulwaru nad samą Bystrzycą, to był przepiękny widok. Gwar dzieci, w ogóle ludzi opalających się - no bardzo, bardzo ładny widok. I to było takie miłe, cieszące, i na te soboty bardzo czekałem, bo w niedzielę na ogół odpoczywaliśmy, kościół, inne rzeczy. Natomiast w sobotę, to właśnie była ta Bystrzyca, i były te kajaki. I drugi, taki też ciekawy epizod z tego okresu czasu, to mieszkając na Królewskiej, na drugim piętrze, często wyglądałem przez okno, patrzyłem, co się dzieje na ulicy. To był taki czas, kiedy ulica Królewska była takim głównym, newralgicznym punktem komunikacji. Wszystkie autobusy i trolejbusy praktycznie przez Królewską przechodziły. Albo miały końcowy, albo początkowy. Jedyne chyba siódemka miała końcowy, tu jak jest biblioteka publiczna Łopacińskiego, przy Narutowicza, vis-à-vis prawie ulicy Wróblewskiego. No i się obserwowało, co się dzieje. A jeździły i ciężarowe, i furmanki, i już zaczynały jeździć taksówki. Ale bardzo ciekawym zjawiskiem na wiosnę i na jesieni, to były przejeżdżające tabory cygańskie. I to był niesamowity wygląd, kiedy te kolorowe wozy z pięknie przyozdobionymi

końmi, które ciągnęły, gdzieś tam sobie tym taborem jechały. Nie wiem gdzie, nie wiem po co, ale to taka była już u nich tradycja. Jakiś tam kierunek mieli, i to było zawsze gdzieś na etapie kwietnia i października, kiedy oni się przemieszczali Królewską. Czyli gdzieś tam jechali, a potem skądś wracali. Ale oprócz tego taboru cygańskiego, który miał w swoim charakterze takiego życia, obyczajowości, może potrzeb, był taki jeszcze jeden bardzo ciekawy element, mianowicie orkiestry cygańskie. Takie zespoły cygańskie, które chodziły po restauracjach, grały i zbierały pieniądze. Ja mieszkałem Królewska 4, a na moje podwórku wychodziły okna od kuchni restauracji Pod Basztą. Tam się codziennie unosiły zapachy różne - i lepsze, i gorsze. Wiem, że na przykład, kiedy mama obiadu nie gotowała w domu, to dawała mi dziesięć złotych, i wysyłała mnie na obiad Pod Basztę. I moim ulubionym jedzeniem obiadowym, to był krupnik na dróbkach - pani przynosiła w kubeczku półlitrowym ocynkowanym i wlewała mi do talerza, i się z talerza nie wylewało - dzisiaj takich talerzy nie ma, żeby taką porcję zupy można było zjeść. I na drugie, to była pieczeń rzymska z kartoflami i z buraczkami, i do tego brałem sobie nie oranżadę, która kosztowała złoty sześćdziesiąt, tylko lemoniadę, która kosztowała złoty czterdzieści. A mając dziesięć złotych, dostawałem te dwadzieścia groszy reszty. I one mi się przydawały, bo to było takie drobne kieszonkowe na jakieś tam sprawy, i co sobie tam uzbierałem, już można było z tego skorzystać. Poza tą restauracją Pod Basztą, tych restauracji w pobliżu było dosyć sporo. To była Polonia na Krakowskim Przedmieściu vis-à-vis ratusza, to była Kaczuska u zbiegu Kościuszki i Peowiaków - dzisiejszych, kiedyś Pstrowskiego, to było Pod Karasiem na rogu też Pstrowskiego, Peowiaków i Hempla, dzisiaj Zesłańców Sybiru. To była Zamkowa na rogu Lubartowskiej i alei Tysiąclecia - dzisiaj tego domu już nie ma. To była Śródmiejska na Narutowicza - dotykając prawie do Osterwy, dzisiaj Kapucyńskiej. I Cyganie po tych restauracjach chodzili, grali. To był najczęściej zespół składający się ze skrzypka, akordeonisty i kontrabasisty. Takimi trójkami chodzili i grali, i śpiewali, i potem chodził ze skrzypcami, tak pokazywał to denko od skrzypiec, i tam pieniądze zbierali, a potem wszystkie pieniądze, które uzbierali, to wrzucali do kontrabasu, bo kontrabas miał takie swoje większe otwory niż skrzypce, i tam więcej pieniędzy mogło się zmieścić bez straty dla dźwięków, które były wydawane z instrumentu. No i bardzo często oni wchodzili do bramy Królewska 4, zamykali tą bramę, i z tego kontrabasu wytrząsali te wszystkie pieniądze. Jak już wytrząsnęli, to jeden miał tylko prawo, on był zaufany, czy wskazany - on te pieniądze zbierał, liczył i według jakiegoś tam podzielnika rozdawał każdemu ile się należy. I potem otwierali bramę, zapalali papierosa, i szli sobie gdzieś dalej. Potem ta tradycja gdzieś zniknęła, ona przestała funkcjonować - czy czasy się zmieniły, czy w restauracjach nie było takiej frekwencji? - bo trzeba powiedzieć, że to życie było w tych byle jakich restauracjach, bo to były podłe restauracje. U mnie na przykład Pod Basztą, to było czynne od rana do wieczora, ruch był niesamowity, policja co raz to przyjeżdżała, bo tam się bez przerwy bili, trzeba było tą interwencję robić. Ale te wszystkie knajpy były państwowe,

więc one musiały być, bo jakiś dochód przynosiły, i z tego trzeba było korzystać. Nie zapomnę, jak na przykład z tych dań, które trzeba było brać jako zakąskę, to był kawałek żółtego sera. To była porcja tataru z żółtkiem od razu. On tam leżał tydzień, dwa ten tatar, ale nikomu nie szkodziło. Widocznie jak podpił tą pięćdziesiątką czy kilkoma setkami, no to jakoś to wszystko ładnie się tam konserwowało w środku, i nie było problemu, żeby jakaś tam choroba na człowieka przyszła, żeby to w jakiś sposób zaszkodziło. I tak patrząc na to, to można powiedzieć, że dzisiejsze życie jest szalone. Bo wtedy był czas na wszystko. Nie było telewizji, głównie było radio, ale też nie za dużo – trzeba było mieć dobre znajomości. Krakowskie 28 był sklep muzyczny. On dzisiaj nie funkcjonuje tam. To, co pozostało po tym sklepie muzycznym, to jest księgarnia muzyczna, która jest w podwórku Krakowskie 28. I tam jakoś u tego pana kierownika mama ubłagała, że przy okazji nowej dostawy zakupiła radioaparat „Mazur” w drewnianej obudowie – bo były i w plastikowej, one były gorsze, więc to było jakby lepsze. Jeszcze „Aga” było – takie większe, w drewnianej obudowie. I ten „Mazur” jak już był, to już można było wszystkiego słuchać, włącznie z Wolną Europą i Radiem Waszyngton, bo coś takiego można było też wtedy na falach krótkich posłuchać. Były dwa programy Polskiego Radia, to się słuchało, bo to już był taki czas, że i „Jeziorany”, i w pierwszym programie „Matysiakowie”. „Matysiakowie” byli w sobotę wieczorem, a dla wsi „Jeziorany”, bo „Matysiakowie”, to raczej dla takiej miejskiej społeczności, a „Jeziorany” odzwierciedlały to, co się dzieje, załóżmy, na wsi. Też było miło, sympatycznie, bo to jakiś folklor, kultura ludowa. To było w niedzielę, gdzieś chyba koło godziny czternastej. I to życie takie było w miarę spokojne. To, że ktoś czegoś nie kupił, to pilnował się, żeby tak kupił, żeby w niedzielę zakupów nie robić, bo w niedzielę, po pierwsze, sklepy były nieczynne, ale dla takich zapominalskich, żeby z głodu nie umarli, to między, załóżmy, siódmą a dziesiątą, były wyznaczone sklepy dyżurne, gdzie można było kupić takie podstawowe rzeczy, jak chleb, masło, mleko, śmietanę, kaszę, ryż. Natomiast każdy był przyzwyczajony, że ten czas musiał znaleźć, nawet jak pracował w sobotę do trzynastej, to potem jakieś zakupy robił. Sklepy mięsne, takie gdzie dzisiaj można różne rzeczy kupować, one były też w sobotę w ograniczonym czasie otwarte, a w niedzielę w ogóle były pozamykane. No i był czas na wszystko, bo można było wyjść na spacer. Takim pięknym miejscem do spacerowania był Ogród Saski. Przyjemnie, dużo drzew, chłód. Jeszcze w mieście, jak były takie upalne dni w ciągu lata, to wtedy człowiek spokojnie na piechotkę szedł do Saskiego Ogrodu, tam pospacerował. Na samej górze była waga, gdzie można było się zważyć. Taki był żetonik, jak kiedyś były tekturowe żetony, jako bilety kolejowe, to tam ta waga wybijała dzień, wagę, którą się miało – za jakąś tam opłatą. To się cieszyło dużą popularnością. No i tak to życie sobie upływało. Myślę, że w taki dosyć ciekawy sposób. Dzisiaj nie do pojęcia, bo ja chodzę, i z tą komórką nie mogę się rozstać. Wtedy telefonów praktycznie nie było. Jak trzeba było zadzwonić, to się szło do automatu, automaty były w różnych miejscach. Wrzucało się pięćdziesiąt groszy czy więcej, i można było gdzieś tam

dzwonić. Pamiętam takie charakterystyczne odzywki, które miały miejsce na poczcie, bo poczta, która dzisiaj funkcjonuje przy Krakowskim Przedmieściu, to ona tam była od zarania, jak ja pamiętam. I tam był cały dział telefoniczny. I były budki, które służyły do obsługi połączeń krajowych, i były budki, które służyły do obsługi połączeń zagranicznych. Tych zagranicznych było mniej, ale też się zdarzały. No i tam się szło, zapisywało, no i w którymś tam momencie: „Kudowa Zdrój! Budka, kabina numer trzy!” –no i ten ktoś już tam leciał. Aj, krzyczy, bo słabo słycać. Ale jakoś tam się rozmawia, i potem wszyscy dookoła byli świadkami tej rozmowy. No ale rozmowa się odbyła, bo trzeba było porozmawiać. Bardziej nasłuchiwali też, jak były te rozmowy zagraniczne, bo to kto, gdzie on dzwoni, kogo tam ma, i tak dalej. No i to takiego uroku trochę to dodawało. Potem, powoli, to zaczęło odchodzić, bo dzisiaj telefonia wiadomo na jakim jest poziomie, już praktycznie gdzieś tam w jakichś szpitalach czy w jakichś specjalnych ośrodkach te automaty jeszcze zostały, a tak, to już one wszędzie zostały polikwidowane.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2020-02-10, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Redakcja</b>	Małgorzata Maciejewska
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"